

ROK I

Nr 2

SKAWA

CZASOPISMO LITERACKIE

JERZY EUGENIUSZ PŁOMIŃSKI . Nowe Encyklopedje
ST. I. WITKIEWICZ Węzłowisko upośledzenia
JANINA BRZOSTOWSKA Za lat miliony — powieść
JAN RZEWNICKI Stanisław August Król
ANNA DE NOAILLES Gdybyś, Panie, przemówił
MIKOŁAJ LENAU Biust Beethovena
JULJA WIELEŻYŃSKA Coraz dalej od poezji do
prozy

M. MOROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA Noty z teatru

Z KSIĄŻEK

U PISARZY I W REDAKCJACH

BIULETYN K. O. J. Nr. 2

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADESLANE

STYCZEŃ

LUTY

WARSZAWA

1939

CENA 50 GR.

SKAWA

Miesięcznik literacki
pod redakcją
JANINY BRZOSTOWSKIEJ

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
WARSZAWA: UL. NOWOGRODZKA Nr 23, m. 5. TEL. 9-55-88

Godziny przyjęć redakcji: wtorki 5-7

Cena numeru pojedynczego	0.50 gr.
W prenumeracie rocznej miejscowej	5.40 "
" " zamiejscowej	6.- "
" półrocznej miejscowej	2.70 "
" " zamiejscowej	3.- "

S K A W A

Nr 2

1939

JERZY E. PŁOMIENSKI

NOWE ENCYKLOPEDJE

c. d.

Jednotomowa „Ilustrowana Encyklopedia Powszechna, wydana przez warszawską księgarnię J. Przeworskiego jest starannie sporządzonym skrótem Encyklopedji Gutenberga. Encyklopedia ta, zapatrzona w wartościowy materiał ilustracyjny (16 tablic wielobarwnych, 32 jednobarwnych, 2 wielobarwne, 38 map w tekście, 400 ilustracyj rysunkowych) daje kwintesencję wiedzy współczesnej z uwzględnieniem dziejów retrospektywnych poszczególnych gałęzi naukowych. Wydawnictwo to sumując zasadniczo zjawiska współczesnej rzeczywistości pod kątem naukowego obiektywizmu przestrzega umiejętnie zasady wyboru i hierarchji, przyczem w pewnych wypadkach zależnie od ciężaru gatunkowego odnośnego zjawiska nie cofa się przed próbą krytycznego wartościowania. Rozmiary tej encyklopedji, liczącej zresztą ponad 800 stronic, zmusiły jej redaktorów do metody silnych skrótów i uproszczeń, które nieraz zniekształcają istotną rozpiętość zjawiska czy zagadnienia w jego skali autentycznej. Są to jednak nieuchronne konieczności w wydawnictwach podobnego typu. Kulturze polskiej oraz życiu polskiemu wyznaczono tu szczególnie uprzywilejowane miejsce, dostosowując wogóle naukowy charakter wydawnictwa (jak w Encyklopedji Gutenberga) do wymagań i zainteresowań czytelnictwa polskiego. Z pośród polskich encyklopedyj podręcznych Ilustrowana Encyklopedia Powszechna Przeworskiego, zalecająca się ponadto wytworną szatą zewnętrzną oraz estetyczną stroną typograficzną należy bodajże do najlepszych. Jej redaktorem naczelnym był dr. Marjan Jerzy Wachtel, dział kultury polskiej opracował K. Czachowski.

Inny typ encyklopedji, wyłącznie biograficznej, ale biograficznej o zasięgu możliwie najszerszym, podejmującej po raz pierwszy w polskim piśmiennictwie encyklopedycznym zamiar zobrazowania pomijanych zazwyczaj dziedzin, i zapewne dlatego podkreślającej w przedmowie swoje ambicje pionierskie stanowi „Czy wiesz kto to jest?” W wydawnictwie tym dochodzi do głosu przede wszystkim szary człowiek, przedstawiciel masy inteligenckiej, bynajmniej nie elitarny. Encyklopedia ta jest pośrednim wyrazem t. j. nieuświadomionym, zatem bez podłoża samowiedzy u jej redaktorów, ale będącym do pewnego stopnia obiegową wartością we współczesnej atmosferze kulturalnej odrodzenia pozytywistycznego (zatem neopoztywistycznego) światopoglądu. Nie szczyty twórczości kulturalnej, nie elita polityczna, nie suwerenowie życia gospodarczego, wreszcie nie ludzie dziejowi, ale zwielokrotnony reprezentant szarej zbiorowości, człowiek bezdziejowy, mikrokosmos ludzki, obywatel z niższych regionów życia społecznego przeważa tu. Prawa regionalizmu zostały tu rozszerzone do granic nieprawdopodobnych, ale bynajmniej nie regionalizmu, mogącego się wylegitymować z twórczych uprawnień, więc w systemie wartości społeczno - kulturalnych słusznie uprawnionego z ogólnie - narodowymi. Sądzę, że takie założenia programowe należą do dziedziny nieporozumień. Encyklopedia, jak gałąź piśmiennictwa, mająca za sobą chlubną historię jest gatunkiem o swoistej systematyce i swoistych prawach. Wyklucza marksistowską metodę zrównywania poziomów i jakości. Nietyle zasada masowości, ile raczej celowego wyboru zależnie od utorytatywności danego zjawiska, oto jeden z głównych warunków jej systematyki. W wydawnictwie „Czy wiesz kto to jest” zaciera się miejscami i to dosyć często linja graniczna między księgą adresową a encyklopedją. Nie wiadomo, poci i w imię jakich kryteriów, (bo wyjaśniono je w przedmowie b. mgławicowo i niezbyt przekonująco) pomieszczono w niej mnóstwo skądinąd może i najzacniejszych ludzi z głuchych i zapadłych partykularzy, jakichś luminarzy, może nawet czcigodnych ze Starego i Nowego Sącza, jakichś rodzimych, petitowych mandarynów z Jasła, Nadętowa czy innej Bochni. Kogo na miłość Boską, z wyjątkiem i tak dobrze wtajemniczonego, szczupłego grona najbliższych znajomych obchodzić może życiorys tej czy owej „wysokiej osobistości” z Kłaja czy jakiejś Bochni, życiorys niższych oficerów, członków prowincjonalnej palestry i t. d...

„Czy wiesz, kto to jest“ wyraża mimowoli jedną z nagminnych obecnie podstaw, jedną z dokuczliwych epidemij, t. j. jak to już zaznaczyłem wyżej, deindywidualizację współczesnego człowieka, a zarazem tragiczne osamotnienie współczesnej elity, jej społeczną dewaluację, wreszcie prymat szarego człowieka, niebezpieczny szczególnie dla oblicza społecznej rzeczywistości oraz życia kultury. Życie kulturalne zepnięto wskutek takiej podstawy w tej encyklopedji na plan ostatni. Ten dział wypadł wogóle bardzo niedbale. Lista przeczeń i błędów jest tu nieproporcjonalnie długa. Redakcja powinna zwrócić dokładną uwagę w zapowiedzianych przez siebie uzupełnieniach na wypełnienie luk i to bardzo dotkliwych oraz sprostowanie mnóstwo nieścisłych lub zgoła błędnych informacji w dziale, poświęconym polskiej kulturze. Szczególnie literatura, dalej wiedza humanistyczna, (pomijam inne gałęzie naukowe, również po macoszemu potraktowane), w mniejszym stopniu sztuka polska padły tu ofiarą niefachowego kierownictwa. Brak tu życiorysów wielu pisarzy młodszego i starszego pokolenia, z pośród których niejeden reprezentuje wysoką pozycję literacką. Oto ich nazwiska 1) St. Adamczewski, 2) Andrzejewski Jerzy, 3) Balicki Stef., 4) Bąk W., 5) Breza Tad., 6) Brzostowska Janina, 7) Brzozowski - Korab Wincenty, 8) Czerkawska Maryla, 9) Czerny A. Z., 10) Dąbrowski J., (publicysta liter.), 11) Dickstein - Wieleżyńska J., 12) Dobrowolski St. Rysz., 13) Dorożyńska-Zaleska, 14) Eminowicz Lud., 15) Falkowski Z., 16) Fijałkowski Miecz., 17) Jedlicz., 18) J. Gamska - Łempicka, 19) Górską Halina, 20), 21) Grabski Wł., 22) Hertz Ben., 23) Hulewicz Jerzy, 24) Jarecka Gust., 25) Jaworski Rom., 26) Jastrun Miecz., 27) Katerwa B., 28) Szcz. Jeleński, 29) Kawecki Z., 30) Kisielewski J., 31) Konczyński Tad., 32) Koniński K. L., 33) Konopka K., 34) Korczak J., 35) Kornacki Jerzy, 36) Kosidowski Z., 37) Kosiński K., 38) Kowalska An., 39) Kowalski Jerzy (pisarz i uczonec, prof. U. J. K.), 40) Kruszewska Fel., 41) Kubacki W., 42) Zerzycki K., 43) Lewik Wł., 44) Lisiewicz M., 45) Marcinowska J., 46) Maykowski St., 47) Miciński Bol., 48) Miller J. N., 49) Morstinowa-Starowiejska Z., 50) Mueller St. An., 51) Nikorowicz Ign., 52) Noyszewski Piołun St., 53) Obertyńska B., 54) Ortwin O., 55) Pawlikowski J. Gw., 56) Piasecki St., 57) Piasecki Serg., 58) Peiper Tad., 59) Przyboś Jul., 60) Rembek St., 61) Rybicki Andr., 62) Rychliński J. B., 63) Saliński J. M., 64) Schultz Br., 65) Sebyła Wł., 66) Stempowski Jerzy, 67)

Stern An., 68) Straszewicz Cz., 69) Sztaudynger J., 70) Szukiewicz Maciej, 71) Stawarski An., 72) Troczyński Kons., 73) Ulanowski Tad., 74) Wasilewska W., 75) Wohnout Wiesł., 76) Wojciechowski J., 77) Wyrzykowski St., 78) Wysocki A. G., 79) Zagórski., 80) Zahorska H., 81) Zawieyski J., 82) Zrębowicz Rom. —

Wśród szeregu innych przeoczeń i luk do szczególnie dotkliwych zaliczyłbym pominięcie takich pionierów na polu organizacyj szkolnictwa i kultury jak Włodzimierza Gałęckiego, b. naczelnika Wydziału w Min. W. R. i O. P., obecnego naczelnika Kuratorium Szkolnego w Krakowie, St. Podwysockiego, b. naczelnika Wydziału w Min. W. R. i O. P. wieloletniego redaktora „Wiedzy i życia” oraz St. Michalskiego dyrektora Funduszu Kultury Narodowej.

Lista powyższa nie jest bynajmniej wyczerpująca, wymieniłem tylko nazwiska wybitniejsze, opuszczone w „Czy wiesz, kto to jest”. Za to nie brak tu obszernych życiorysów grafomanów prowincjonalnych, nie wiele mających wspólnego z literaturą. I selekcja nazwisk i proporcja w traktowaniu poszczególnych życiorysów szwankuje tu wydatnie. Trudno wyjaśnić sobie kryterja zgoła zagadkowe, pod których znakiem redakcja tej encyklopedji temu lub owemu z pośród znakomitych pisarzy odmierzyła skąpo zaledwie kilka wierszy, przy czem jakiemuś handlowcowi lub oficerowi niższego stopnia poświęciła kilkakrotnie więcej miejsca. Hierarchizowanie zjawisk, no i osobistości, które je reprezentują należy jednak w wydawnictwach tego pokroju do zasadniczych założeń metodologicznych. Świat naukowy świeci również dużymi lukami w „Czy wiesz, kto to jest”? Pominęto więc prof. U. J. K. J. Aleksandrowicza, obecnie wiceministra W. R. i O. P., Zygm. Czernego, prof. U. J. K., K. Dobrowolskiego, prof. U. J. i Garbowskiego T., prof. U. J., R. Ingardena prof. U. J. K., Wł. Henricha prof. U. J., Kucharskiego Eug. prof. U. J. K., Łempickiego St. prof. U. J. K., M. Małeckiego prof. U. J., Skwarczyńską St. doc. U. J. K., Szwejkowskiego Z. doc. U. J. P., Szyjkowskiego M. prof. Uniw. w Pradze czeskiej, Taszyckiego W. prof. U. J. K., Wędkiewicza St. prof. U. J. P., Windakiewicza St., prof. U. J., Wolerta Wł. prof. W. Wsz., Wóycickiego K. hist. literatury, St. Zarembę, h. prof. U. J., St. Kr. Zarembę doc. U. J., Ottona Forst - Bataglję, prof. uniw. w Strasburgu. Wogóle obraz kultury polskiej przedstawia się w tym wydawnictwie arcyżałośnie. Pomieszanie wartości oraz odwrócenie jej hierarchii dało zupełnie wykrzywiony jej aspekt. Na ściśłości in-

formacyj w zakresie kultury polsk. w „Czy wiesz, kto to jest” nie można również polegać.

Roi się w tej encyklopedji od błędów i nieściślych informacji, zczawszy od mylnych adresów, a skończywszy na mylnych stopniach naukowych. Za to istnieją w niej pewne fikcyjne pozycje pisarskie, nigdy nienapisane, oraz niewydane. I tak K. Czachowski nie wydał nigdy zarejestrowanych w „Czy wiesz kto to jest”? książek pt. „Współczesna powieść polska” oraz „J. Kaden - Bandrowski”. By nie być gołosłownym podam tylko niektóre z pośród licznych niedociągnięć i rażących błędów. Wittlin nie otrzymał nagrody dla młodych P. A. Lu., lecz nagrodę „Wiadomości Literackich”. L. Chwistek nie jest docentem U. J., lecz prof. U. J. K. (podano również jego dawny, krakowski adres). Nawiasem mówiąc, takich przestarzałych adresów i nieaktualnych stopni naukowych jest w tej książce więcej. Do rażących niekonsekwencji zaliczyłbym dziwny fakt, dziwny przede wszystkim wobec stosunkowo ogromnej liczby pominiętych, żyjących przedstawicieli współczesnej kultury polskiej. Oto w encyklopedji tej umieszczono kilku nieżyjących już pisarzy bez poinformowania czytelników o dacie ich śmierci. Do tych ostatnich należą: St. Barszczewski † 1937, R. Bergel † 1937, Józ. Jankowski † 1935, Ern. Łuniński † 1931, Skarzewski - Żuk T. † 1933. W życiorysach niektórych uczonych i pisarzy podano ich niepełny dorobek twórczy, opuszczając nieraz jego najważniejsze pozycje (Kaz. Nitsch, R. Ganszyniec, L. Chwistek i i.).

Reasumując trzeba stwierdzić, że encyklopedję tę, zgłaszającą ambicję pionierskie trzeba na nowo opracować. Ale byłoby wysoce pożądane, by redakcja powierzyła w następnych wydaniach dział kultury polskiej fachowcom, którzy dawaliby rękojme, że wywiążą się z zadania z całą powagą i dostatecznym poczuciem odpowiedzialności. Niemniej pożądaniem byłoby, by redakcja skontrolowała niektóre ze swoich założeń programowych, a głównie dziwaczną zasadę prymatu szarego człowieka, przy równoczesnym przesuwaniu elity kulturalnej na szary koniec. Bo przecież encyklopedja nie może spełniać czynności biura meldunkowego, instytucji niewątpliwie społecznie pozytywnej i niezbędnej, gdzie każdy obywatel posiada równe prawa i musi być umiejscowiony.

ST. J. WITKIEWICZ

WĘZŁOWISKO UPOŚLEDZENIA

(Wyjątek z „Niemytych Dusz“)

Istotą kompleksu niższości (węzłowiska upośledzenia) jest pewne podświadome niezadowolenie ze swojego położenia czy stanowiska w świecie i ze stosunku otoczenia, które zdaje się być zbyt obojętne czy negatywne, wobec rzekomych wartości i czynów danego osobnika. Zaznaczyć trzeba, że odbywa się ta ocena często w głęboko podświadomych warstwach i nikt by często nie poznał w danym pozornie zadowolonym z siebie osobniku, kogoś ciężko psychicznie zranionego swoim nieodpowiednim położeniem w układzie, w którym los życ mu kazał. A jednak nieświadome ognisko złych myśli promieniuje swą ciemną emanacją, zmieniając różną reakcją na rzeczywistość do tego stopnia, że dana ofiara kompleksu często by się nie przyznała do swoich własnych, niezauważonych zwykle, drobnych postępów, do ich istotnego kierunku i intencji, gdyby mogła widzieć cały mechanizm swego wewnętrznego stawania się.

Dwie są drogi wyjścia z fatalnego położenia, stworzonego przez węzłowisko upośledzenia, o ile nie nastąpi zupełna równowaga między pragnieniami a rzeczywistością, marzeniem, a jego spełnieniem, równowaga kompromisu i ugody, normalnego pół-zadowolenia wydzielonym kęskiem istnienia i nasycenia własną osobistością, które jednak stanowi większą część ludzkiego bytu, miążż wegetatywny społeczności, na której inne, obce jej pozornie, wyrastają osobniki, uczucia i myśli; dwie są drogi: jedna droga, rzeczywistości, wiedzy, przez realny trud do czynów usprawiedliwiających, choćby w męce, istnienie danego stworu na tej ziemi i w świecie całym i pozwala mu pozostawić za sobą, jako ślad jego bytu, wartościowe dla niego samego i dla innych, pośrednio lub bezpośrednio, twory; droga druga, droga nieprawdziwego napuszenia urojoną wielkością, którą na pewien czas nawet innych zamamić można, wiedzie przez kraj brzydkiej i małej fikcji do niesławnego końca, który można przyrównać do rozprucia pustego, nadętego śmiesznie balonu.

Ale często zdemaskowanie nie następuje równo z końcem danego napuszonego na sztuczną wielkość osobnika. Czasem on sam przez innych systematycznie podbechtywany, uwierzy w swą ważność z taką siłą, że do końca życia w jej poczuciu dotrwa, a nawet długo po śmierci błąka się między ludźmi jego wydęty ponad wszelką miarę majak - balon, zanim sąd nadeszłych, nieomanionych pokoleń, sąd historii już, powoli dech sztuczny z niego wypuści, okazując jego nicość i wewnętrzną pustkę. Nie mówię o wypadkach przeciwnych: rozpoznania ważności tych, których za życia za nieważnych w nieświadomości swej i głupocie uważaliśmy, bo jest to

wprost codzienny banał, nieomal od najdawniejszych dziejów ludzkości. Nie idzie mi tu o te wielkie społeczne przejawy owej złudy, tylko raczej o ten codzienny jad małych zdarzeń tego typu, przejawiających w małych duszach, niezdolnych nawet do wielkich kłamstw i zakłamań. On to bowiem stwarza atmosferę ogólną danej grupy, miasta czy społeczeństwa całego, na której dopiero inne bakcyle, potężniejszych i straszniejszych chorób się zahodowują *)).

Jest jasne, że pewna część t. zw. „ludzisków“ musi na tę chorobę chorować. Możliwe, że wszyscy, w mniejszym lub większym stopniu natężenia i utajenia ją mamy. Ale na czym polega to, że nasz właśnie kraj, którego historia tyle wielkich omyłek zawiera, cierpieć zda się na nią właśnie najbardziej ze wszystkich, o ile mi się zdaje, krajów naszego globu? Czemu przeciętnemu, a nawet co najgorsze i poniekóremu wybitnemu osobnikowi naszej nacji zda się bardziej wprost zależeć by się wydać czemś wydatnem, niż być niem w istocie? Czemu nam właśnie wystarcza złuda naszej ważności wobec nas samych a nadewszystko wobec innych, samo napuszenie się na wartość, sam blichtr dostojeństwa zewnętrznego, niż sama ważność owa jako taka, sama wartość istotna, samo wewnętrzne dostojeństwo, oparte o rzeczywistość, a nie pozór spełnionych czynów? Nigdzie zda się w historii, nie nastąpiło takie przemieszczenie i zwiczenie wartości, jak w naszym właśnie narodzie. Czy większa część nieszczęść które naród ów sam na siebie w ciągu dziejów sprowadził, nie na tym mechanizmie utajonym każdej prawie poszczególniej duszy się zasadza? Bo nie brak nam wielkich danych i wielkich talentów, zdolności i możliwości — tego bezsprzecznie odmówić nam nie można. I gdybyśmy inne cechy charakteru, konieczne dla realnej twórczości posiadali, cuda wprost, przy tamtych danych, osiągnąćbyśmy mogli. Ale unosi nas, łatwa w pewnych warunkach do spełnienia, żądza chwilowego, a nie daleko-dystansowego świecenia blaskiem gwiazd pierwszej wielkości i dlatego stwarzaliśmy często raczej sztuczne, zawodniczem światłem błyszczące niby-gwiazdy, a w istocie tanie rakiety, które tylko pewien czas prawdziwe gwiazdy udawać mogą, a potem gasną bez śladu, nie zostawiając nawet trwalszej świetlistej smugi po swoim przejściu. A przekleństwem atmosfery kraju, w którym przewagę ma napuszenie nad ważnością samą, jest to, że gdy się zjawi wreszcie prawdziwie ważny ktoś, to materiału dla twórczości wedle swego wymiaru i potęgi nie znajdzie i przez to często wartości swej całkowitej ludziom oddać nie może... I czyż nie jest pełną przykładów takich zmarnowanej potęgi historia nasza?

*) Szczególniej widać proces ten u nas w sferze sztuki, literatury i krytyki; ta ostatnia najbardziej jest chyba zakłamana.

Ja historję znam zbyt mało, aby tutaj w zbyt uczone dysertacje się wdawać. Ale gdy czytałem kiedyś dzieje nasze to wprost aż wyłem chwilami z oburzenia i rozpaczę i mimowoli pięści zaciskałem z wściekłości, że podobne rzeczy dziać się mogły i że naród, tak wielkimi możliwościami wewnętrznymi i zewnętrznymi rozporządzający, tak mało istotnego zdziałał i stworzył, a tak wielu swoich, rzadkich zresztą, prawdziwie wielkich mężów, przez brak podtrzymania ich a tępy zasię opór przeciw ich wielkości i hojnej dla innych potędze zmarnował i mówiąc dalej tym trochę napuszonym stylem — nie pozwolił im całkowicie swej misji na tej planecie wypełnić. I tak było nieomal, aż do ostatnich przedwojennych czasów, i coraz rzadziej widzieliśmy prawdziwą wielkość między nami. Bo nie chodzi tylko o wielkość danych osobników jako taką, tylko o to też, jak ta wielkość całość bytu ludzkiego w danym społeczeństwie na wyższe szczeble podnosi, jak rozpuszczając się w niem potęguje nasycenie całego społecznego roztworu i aktywnością wyższą go naładowuje. (Tu następuje moja „teorja” masowo źle u nas wygranego węzłowiska upośledzenia, w związku ze szlachecką demokracją i na niej opartą kulturą).

P. S. Po ukończeniu pisania „Niemytych Duszy”, co nastąpiło w lecie w r. 1936, często zdarzało mi się spotykać w rozmowach z ludźmi względnie wykształconemi, a nawet w artykułach w prasie codziennej, z zupełnie fałszywem wręcz odwrotnem, zastosowaniem pojęcia „kompleksu (węzłowiska) niższości”, niż to by wynikało ze znaczenia jego w kontekście teorii Freuda. Mówiąc o puszeniu się czymś ponad zwykłą miarę i tłumacząc to kompleksem niższości słyszałem n. p. zdanie: „to chyba kompleks wyższości, a nie niższości”; świadczyło to o tem, że interlokutor mój pojmował kompleks niższości jako świadome jej poczucie, a nie naodwrot, tj. jako poczucie podświadome, przy jednoczesnem świadomem sztucznem wywyższaniu się i puszeniu jako jego kompensacji. W jakiejś gazecie pisał ktoś kiedyś we wstępnym artykule o „narodowym kompleksie niższości Polaków”, którzy muszą szukać zawsze potwierdzenia w zagranicznych wzorach i uznania za granicą swych wytworów, nie mogąc zdobyć się na samodzielność i zaufanie do siebie, bez sankcji jakiegoś autorytetu z zewnątrz. W ten sposób np. przesadna skromność, niewiara we własne siły, usuwanie się w cień, brak wszelkiej nadętości itp. uznawane są, popularnie za objawy źle zrozumianego „kompleksu niższości”.

Rzecz się ma odwrotnie, co we wstępie do „Niemytych Duszy” starałem się jasno wytłómaczyć: podświadome poczucie prawdziwej niższości, o którym posiadacz jego świadomości nic nie wie, ukrywając starannie ten stan rzeczy przed sobą, doprowadza go, albo ¹⁾ do dokonywania rzeczywistych czynów, mających usunąć dręczącą go podświadomie zmorę, albo ²⁾ do *świadomego ale nie programowe-*

go bynajmniej napuszenia się ponad swoją prawdziwą wartość, dla pokrycia tamtych spraw sztucznie wytworzoną warstwą *pseudo-wartości*, czyli do tak zwanego popularnie „zaklajstrowania”. Tak więc posiadacz kompleksu niższości, przyczem słowo „kompleks” oznacza podświadomość, jest raczej wstrętnym megalomanem, a nie żadnym zahukanym świadomym swej niższości skromnisiem.

Niema nic bardziej irytującego, jak kiedy t. zw. ludziska gadają uczenie o czemś, nie mając o tem bladego pojęcia, zamiast się poduczyć; ale jest już czemś strasznem, gdy piszą tak samo w gazetkach. Wtedy stają się szkodnikami społecznymi na wielką skalę.

JANINA BRZOSTOWSKA

ZA LAT MILJONY

Powieść

Strapionym, zgorzkniałym, a jednak w lepsze jutro wierzącym ludziom XX mrocznego wieku.

Wila spojrzała na ścianę orjentacyjną swego gabinetu. Błękitny płyn, którym nalana była zewnętrzna, z przejrzystego metalu skonstruowana ściana pokoju, sięgał linij 20 stopni ciepła. Ściana wewnętrzna natomiast, o bardzo nikłej barwie fioletowej, wskazywała 18 stopni: temperatura wnętrza mieszkania.

— Za mało ruszałam się dziś, zimno mi... pomyślała mieszkanka barwnego domu. Muszę się przejść trochę. Na dworze, okazuje się, ciepło...

Z szerokiej metalowej szafy wydobyła lekki koszyk na prowjanty i słodycze, które otrzyma w rozdzielni przysmaków, i wyszła, naga, nie ubierała się bowiem wcale na tak piękną pogodę.

Smukła i zgrabna, miała białą skórę, niesłychanie delikatną i wypielęgowaną starannie. W ciepłe pogody nie okrywała jej najcieńszymi nawet sukniemi, z całym przejęciem posłuszna wskazaniom znakomitych higienistów-lekarzy, kierujących ochroną zdrowia obywateli. W obrębie dziedzin zamieszkałych wprowadzili oni na całej ziemi zwyczaj unikania wszelkich ubiorów, prócz, o ile ktoś

koniecznie tego chce, przepasek biodrowych i lekkich napierśników dla kobiet, słusznie twierdząc, że nie wolno pod żadnym pozorem pozbawiać skóry ożywczego działania sztucznych lub kondensowanych promieni słonecznych, wysyłających życiodajne ciepło i światło z pod szklanych stropów ulic, alej i placów.

Pogoda była dziś rzeczywiście wspaniała. Wszystkie punkty słoneczne jaśniały pełnią swych blasków, grały, świeciły.

Już od dawna ci z pośród meteorologów, którzy zajęci byli ustaleniem na pewien czas ciepłoty powietrza lub urządzeniem w niej zmian, dawali mieszkańcom przejrzystych pałaców całe tygodnie tak piękne. Starali się jednak i o to, aby nie za wiele było tego ciepła. Ludzie stali się aż nazbyt wydelikaceni, a mrozy nazewnątrż zamieszkałych przestrzeni były przecież, szczególnie o tej porze roku, najzimniejszej, (na szczęście już mijała) straszliwe.

Gdy Wila wyszła zbliżało się już południe. Olbrzymie soczewki kondensatorów zbierających słabe promienie słoneczne, i sztuczne, wielkie, doskonale grzejące i świecące „słonecznice“, zalewały wszystko i wszystkich potokami ożywczych promieni. Domy o barwnych, lecz nie krzykliwych i matowych ścianach, nie drażniły oczu ani nerwów. Nie można też było rozróżnić co się w nich dzieje, bo mimo że światła wewnątrz nie uszczuplały wcale, od zewnątrz przejrzyste nie były.

Po ulicach przechadzali się ludzie. Byli przeważnie piękni, bardzo smukli, o twarzach ogromnie wyrazistych. Spojrzenie Wili z przyjemnością na nich się zatrzymywało, bez tego obrzydzenia, jakie zapewne często przed tysiącami lat przejmowało wrażliwszych przechodni na widok oblicz i postaci bliźnich, noszących znamię ich — jakże często jeszcze wówczas — dzikości i zbrodniczości.

Przechodnie, nieliczni zresztą, których spotykała Wila, robili wrażenie istot niesłychanie precyzyjnie zbudowanych, ale wątłych. Mało byli podobni do dawnych, z wyglądu bardzo do nieżyjących już dziś małą zbliżonych ludzi, początkowych kilku tysięcy lat rozwoju cywilizacji.

Teraz Wila weszła w strojną szpalerami jasno-zielonych i żółtych krzewów aleję, wzdłuż której ciągnęły się parki przeznaczone dla dzieci. Bawiły się one pod nieruchomymi słonecznicami, wśród klom-

bów podobnych do wielkich talerzy wyszukanego, cieplarnianego kwiecia.

Dzieci nie było już na ziemi wiele — ale właśnie dlatego stały się największym skarbem ludzkości, otaczane najtroskliwszą opieką. Było im dobrze pośród zieleni, kwiatów, krzewów i drzewek, bujnych niekiedy pierzastością liści i rozłożystością gałęzi, ale nie wysokich. Ogromnych, wyniosłych drzew dawnych minionych tysiącleci nikt nie znalazłby teraz na ziemi...

Leżały te ogrody, jak zresztą cała przestrzeń dziedzin zamieszkałych, na gruntach ogrzewanych od spodu gęstą siecią pulsujących ciepłem żył atomitowych. Atomit, sztuczny metal stale promieniujący wewnątrz-atomową energią ciepło, tysiączne teraz ludziom od dawał usługi. Gdyby nie sieć jego ciepłodajnych żył, ziemia byłaby już zbyt zimna, aby istnieć na niej mogło życie człowieka, jego roślin (bo tylko przez niego utrzymanych dotychczas) i zwierząt. Najwspanialsze słonecznice na powierzchni nie wystarczyłyby do zniesienia zimna od niej idącego.

Z terenami przeznaczonemi dla młodszych dzieci łączyły się ogrody i place należące do uczelni dla młodzieży starszej. Ku nim skierowała Wila swe kroki, gdyż w jednej z pośród znajdujących się tu szkół prowadziła naukę o tej porze siostra jej, Ilena. Niezadługo wykłady kończyły się, i Wila miała spotkać się z Ileną.

Wszystkie szkoły podobnie jak wszystkie zresztą instytucje, w których ludzie zbiorowo uczą się, pracują, czy też na sportach i rozrywkach czas spędzają, znajdują się teraz na otwartej przestrzeni, nie zamknięte w budynkach, wolne od nieprzyjemnego zaduchu, wyziewów. O dymie cygar czy papierosów mówić nie potrzebuje, gdyż niema już takich którzyby je palić chcieli. Papierosy i cygara znajdują się tylko w muzeach, jako dowody dziwacznych nawyków człowieka początkowych okresów historii.

Wila usiadła w przedpolu klasy i czekała na siostrę.

Ilena przerabiała właśnie historję w klasie trzeciej, z czworgiem dzieci o prześlicznych gładkich cerach i łagodnych oczach, ubranych w suknie z grubego tiulu. Patrzyła na nie z uwagą, podczas gdy wykładowca opowiadał zamierzchłe dzieje ludzkości.

Od dawna już nauczyciele nie tracili sił i nie niszczyli swych strun głosowych na długie i męczące wykłady własne, powtarzające prze-

cież rok w rok, z nieznacznymi tylko od czasu do czasu zmianami, ten sam program nauki dla każdej klasy. Najbardziej może bowiem wyczerpujące dla nerwów nauczycieli było dawniej to ustawiczne, w koło powtarzanie rzeczy, które sami doskonale znali. Młody pedagog, pierwszy czy drugi rok uczący, mógł się jeszcze entuzjasmować pięknnością i ważnością tematu swej nauki, ale po kilku latach powtarzania tych samych, choćby najpiękniejszych tekstów, po długim wbijaniu ich w głowy, jakże tępych nieraz, uczniów — największy zapał musiał ostygnąć... Teraz nauczyciele dopomagali tylko uczniom w rozumieniu wykładanych i ilustrowanych przez specjalne aparaty, zwane wykładaczami, spraw, odpowiadając na ich pytania, zależne zawsze od umysłowości dzieci danej klasy, i rozpraszając nasuwające im się wątpliwości.

Mimowoli, ponieważ nauka odbywała się w przestrzeni niezamkniętej, musiała Wila czekać wysłuchać, co mówił wykładacz.

Dzieci dowiadywały się właśnie zdumione, jak to dawniej, przed, wielu tysiącami lat, ludzie różne mieli barwy skóry: czarne, czerwone, żółte i brązowe! Całe wielkie masy ludzi barwami skór różniły się od siebie. Mówiło się: rasa biała, rasa żółta, rasa czerwonoskórych, lub rasa czarna. Barwy ras powodowały ustawiczne zatargi i wojny, nienawiści i zbrodnie. Rasa biała uważała się za lepszą i wyższą od pozostałych, a jednak właściwie barwa skóry nie była zależna od wartości mózgów czy charakterów, lecz od geograficznego położenia danych obszarów etnicznych, a mianowicie od nasłonecznienia ziem, które dana rasa zamieszkała.

I tak rasa czarna o barwę swej skóry winić mogła tylko słońce, i wszyscy, którym się ona nie podobała, tylko do słońca mogli mieć pretensje. Tam, gdzie słońce grzało najmocniej, ludzie byli czarni... czarność ciała była jego barwą ochronną przeciw zapaleniu skóry, na które przy barwie białej byliby narażeni. Czarni bowiem ludzie zamieszkiwali okolice ówczesnego równika ziemi, najmocniej przez słońce upałem i blaskiem obdarzane. Były tam naturalne gorąca tak wielkie, że dzisiejszy człowiek nie mógłby ich znieść — poraziłyby go śmiertelnie.

JAN RZEWNICKI

Z cyklu: STANISŁAW AUGUST KRÓL.

Część I Obraz X.

K U S Z E N I E

Osoby: Król-Elekt Stanisław August, Ksawery Branicki, starosta halicki.

Rzecz na Zamku Warszawskim, — wrzesień 1764 r. (wchodzi Stanisław August, poprzedzony przez dwu lokajów z kandelabrami — za nim Ksawery Branicki — na skinienie lokaje wychodzą — wychodzi również trzeci, który za nimi wniósł gąsiorek starego wina, i odkorkowawszy go, postawił na stoliku).

(Król wachluje się koronkową chusteczką — rzuca się na fotel)

KRÓL Słuchaj, Ksawery!... Ja już wprost upadam...
W pocie zaczynam ono królowanie...
Ach te harangi! to gratulowanie!
Proszę cię siadaj...

BRANICKI Rozkazuj.
KRÓL Nasz Adam,

BRANICKI Czy uważałeś, był sztywny jakgdyby... (*gest*)
Stasiu... Pardon, ach! Najjaśniejszy Panie,
To są refleksy personalnej chyby:
Marzeń — ot — żal mu... Ale to ustanie:

W blaskach twej chwały szczerzą niehumory...
Jak słońeczni, ku tobie się zwrócą
Wszyscy, co wczoraj...

KRÓL O, nie! — nie bądź skory:

BRANICKI Radziwiłł wróg mi... Sire, każdemu kpu, co
W majestat godzi, przypoehlebiać chceszli?
Wszakci odsądzon od mienia i cześci,

Kształtem banity miota się tam gdzieś
Próżno u obcych. Czem ci straszem? Jeśli
Zechcesz przebaczyć, jutro ci do nogi,
Jak kundel, wróci!

KRÓL Nie, nie, nie! Ksawery!
Dusza to harda — i nad inne wrogi
Mi nieżyczliwy, — w inwidji on szczery...

BRANICKI *(lekceważąco)* O cenę idzie... Cnotę zżarły czerwie...
Patrz pan Potocki płazem ci się ścięle,
Gryf pogrzebł butę, w pojednawczej werwie
Pod żonin fartuch ukrywszy fortele...

KRÓL
Z kim będą walczyć? — z potęgą carowej?...
Dzięki, Branicki... Daj Bóg, niech się ziści...
Złą myśl mi płoszysz z rozpalonej głowy.
Wiem, żeś przyjaciel... i zaznasz korzyści,
W chwili sposobnej...

BRANICKI Najjaśniejszy Panie!
Dwukroćem ważył cześć i krew za ciebie!
Pomnisz nad Newą? Choć zresztą, — toć ja nie
Skoś kalkulacji stawałem w potrzebie!
Sercem cię kocham! Pragnę — ja nie przeczę —
Urość przy tobie, bo dziś jeno można
Ma w tej ojczyźnie walory człowiecze, —
Ale...

KRÓL Ksawery, — dobrze, lecz w ostrożny

BRANICKI Zrobim to sposób... Dłużnym nie zostanę,
Jeno stań przy mnie pomocą i radą...
KRÓL Ślubując, królu! Jakom żyw, tak stanę!
Masz wieści jakie? Co ogół powiada

BRANICKI O mej elekcji?
Rad jej jest kraj cały.
Pozwól mi, królu, uczcić to kielichem! *(nalewa i czę-
stuje króla)*

KRÓL *(gestem oddala puchar — Branicki pije — król mó-
wi)*

Egzagerujesz... Tłumy nie zdradzały
Się z afektami, w zasłuchaniu cichem
Jakby myśl jakąś trawiąc nieprzychylną...
Polak głośny, gdy rad...

BRANICKI Unanimiter
Obranyś przecie. Dowód nieomylny,
Ześ pożądanym.

KRÓL Łaskawys arbiter...

BRANICKI Gdy malkontenci pod moskiewską tarczą
KRÓL Stanać nie chcieli, któż miał kontrwotować?
A nasze wota zali ci nie starczą?
Starczą... — bo musim — pozory ratować...

Alem zasłyszał w mdłych głosów wołaniu,
Ze pogrzebowi podobna elekcja...

- BRANICKI Więc na pochybel, Najjaśniejszy Panie,
Wszelkiej kanalji! (pije) Otoczon protekcją
- KRÓL Możnej Aljantki, wielkimś jest wbrew tłumom!
Czy ja za drogo nie opłacę łaski?
Moskal w tych godach niebezpiecznym kumem
Może mi stać się, gdy uchyli maski...
- BRANICKI Jutru to ostaw! Dziś korzystaj, królu,
Z kómmemoracji alkowianych zysków,
I bądź szczęśliwy!
- KRÓL O! nie wznawiaj bólu,
Który ożywa w tamtych wspomnień błysku!
Do dziś ją kocham... Ciężarem mi życia
Jest to... — niestety, silniejsze ode mnie!
BRANICKI (pije) ...Robaka zalać! W tej twardej kobiecie...
KRÓL Żle o niej nie mów! Gdym wónczas tajemnie
Serce jej posiadł, przysięgała szczerze, —
Dziś... (zakrywa twarz)
- BRANICKI Drwi dziś?
KRÓL Jednak...
- BRANICKI Sire, pomnij, król może
Szaleć, kraść rozkosz mniszce czy heterze, —
Kochać nie wolen! Serce — na obrozę!
- KRÓL Słuchaj, Branicki, ja pragnę zapomnieć...
BRANICKI (półpijany) Właśnie! Więc wieńcem jasnych pań się
otocz!
- BRANICKI Bierz co najgładsze! Okiem jeno potocz,
Wszystkie posiędziesz, czy tamtą, czy tą mieć
Zapraǳiesz żywnie! Niby suki w polu,
Łowieckim trybem zaczną wystawianie...
KRÓL Fe, fe Ksawery, topisz w alkoholu,
Mon cher, smak dobry...
- BRANICKI Najjaśniejszy panie,
Niech grom mnie spali, jeśli to nie prawda!
Wróćą figielski księżnej strażnikowej,
Kuzynka Belcia też ci więcej praw da
Do kras intymnych...
- KRÓL Tss! frywolne słowa...
Tyś już pijany! (Br. całuje mu rękę — ten się broni)

ANNA DE NOAILLES.

GDYBYŚ, PANIE, PRZEMÓWIŁ...

*Gdybyś, Panie, przemówił, głos dotarłby łacno
Do mej duszy, dla której zmiłkły ludzkie gwary...
Więź ze światem stargałam... siły moje gasną...
Bez oparcia... pobita... samotnam bez miary...*

*Mego serca tajniki, które światło chłona,
Wchłonęłyby Cię, gdyby — wbrew prawom natury —
Nakształt wichru, co nocą skał przenika łono,
Twoje słowo płomienne zeszło na mnie z góry...*

*Nikt Cię w takiej nie wzywał niedoli bezkresnej!
Czczyłabym Cię wśród fanfar i w kadzidel dymie,
Gdybym pośród tej ciszy napiętej, bolesnej
Mogła głos Twój usłyszeć i poznać Twe imię.*

*Choćby Twoje oblicze pełne było cienia,
Wzniosła Trójco! ja noc bym zdmuchnęła lub starta,
Mój duch szedłby za Tobą wiernie, bez znużenia,
Ażbym na Twem wybrzeżu jasnym stopy wsparła.*

*Ale żaden mi Ciebie znak nie zdradził, Panie,
Ani ciężkie niebiosa jak wodne ogromy,
Ani tchnienie upału we zbożowym łanie,
Ani jońskiejskiej świątyni kształt na górze stromej;*

*Ani dzwony, co pieją rytmiczne peany,
Ani ludzka odwaga — bez laurów ozdoby! —
Ni zmarli, których cichość, wiejąca przez groby,
Jest niby wyrzeczenia mur niepokonany.*

*Ni te noce, gdy z oczu jakby spada łuska,
I duch sięga sfer górnych, dóbr powszechnych włości,
Ni księżyc, który taflę sennej rzeki muska,
Przelotnym pocałunkiem — wśród niebios wieczności.*

*Ani mego dzieciństwa żarliwe poranki,
Kiedy na łąkach wzdętych przez zapachów chmurę
Czułam pełna ekstazy: jak za nieba szranki
Anioł leci i serce mi porywa w górę!*

*A jednak Ty miej litość! Dłoń podnieś zwieszoną,
Bolesnym, ciemnym losem mym pokierują z dali!
Ciebie wzywam, o, Blasku, Mądrości Korono!
Lecz nie widzę Cię, Panie, i śpiew, co Cię chwali,
Mknie w pustki dal nieskończoną...*

Z francuskiego oryginału przełożyła
Jadwiga Wazewska

MIKOŁAJ LENAU (1802 — 1850)

BIUST BEETHOVENA

*Smutnym wrócił raz wieczorem
Do ponurej mej komnaty —
Wtęm z przeciwka blask padł na mnie,
Blask w radości ton bogaty.*

*Rozkochanym tęsknym wzrokiem
W mmroku dojrzał przyjaciela,
Co mą smutną, ciemną celę
Zmienił w jasny dom wesela.*

*Był to biust mojego mistrza,
Przed którym się ze czcią korzę
I tak kocham go, jak góry
I bezmierne sine morze.*

*Alp śnieżyste nawałnice,
Burzą wzdęte oceany,
Wielkie serce Beethovena
I wichury i orkany*

*Te dodają mi odwagi
Stawiać czoło grotom losu,
Co ostatnie drzewo raję
Z śmiechem rzuca w płomień stosu.*

*Walczyć uczę się bez złości,
Kochać tak jak ptacy leśni
I czuć śmierci dreszcz rozkoszny
Z Beethovena smutnych pieśni.*

*Gdy pochwałę życia głoszą
Ponad padłe w nicość głoby,
Zda się wtedy — djonizyjski
Szał porywa wszystkie groby.*

*Gdy w gniew wpadną, słyszysz szczęki
Walk o świętą wolę życia*

*I strąconych w otchłań mroków
Złych demonów gniewne wycią.*

*Fal łagodne kołysanie!...
Czyżby wasze chłodne bryzgi
Były mową zakochanych,
Jak ich szepty i umizgi?..*

*Po posadzce lśniącej z muszli
nimf korowód sunie w śpiewach.
Zalążki przyszłych słowików
W koralowych marzą krzewach.*

*Słyszysz pieśń tę?... To natury
Podsluchane są zwierzenia,
Gdy szeptała w uszko dziecku
Treść pierwszego w śnie marzenia.*

*Pieśń to grana na promieniach
Gwiazd, napiętych jako struny,
Nad przepaścią, której rytmy
Lśnią jak kryształ w świetle luny.*

*W jej takt róża każe pączkom
Swym rozwijać się, być kwiatem,
Żuraw wietrzy długie skrzydła
Przed wyrajem w ślad za latem...*

*Ach, Korjolan!.. Minął motłoch
Zgromadzony w rynku licznie...
Lecz to tony już ostatecznie,
Brzmiące głucho i tragicznie.*

*Jak bohater co bitw pola
zrosił wrogów swych posoką,
Gdy otrzymał cios zniecka,
Staął nagle i głęboko*

*Zamyślił się. Stoi, duma,
Przeznaczenia śledząc sępy...
Cóż, że zginie?.. nie drży o to,
Lecz o mężne swe zastępy. —*

*Słyszysz, jak w tym zgrzycie tonów
Czas z rozpaczy łamie palce?..
Te znów wieszczą pojednanie
Po cierpieniach i po walce...*

*W symfonij burzliwych szatach,
Gdy ulewa, gromy wkoło,
Widzę Zeusa, jak całuje
Chrystusa skrwawione czoło.*

*Serce pragnie wziąć w ramiona
Cały wszechbył, ludzi, kraje...
A przeszłość i przyszłość świata
Znów się Jednem wiecznym staje.*

przełożył
Henryk Wroński

JULJA WIELEŻYŃSKA.

CORAZ DALEJ OD POEZJI DO PROZY

W dziedzinie, którą schematycznie ogarniamy jednym nagłówkiem sztuk pięknych, myśl wprowadziła skostnienie, wiarę, że między pojedynczymi sztukami trwa sztywny, zawsze jednakowo obowiązujący stosunek, niby między gwiazdami, tworzącymi niezmienną konstelację. Doświadczenie mówi o czym innym. W pewnych epokach pewne sztuki zyskują hegemonję, inne wchodzą pod ich znak; kiedyindziej jedne, rosnąc, wyprzedzają pozostałe, które potem muszą odrabiać chwilowe maruderstwo; czasem zbliżają się wzajemnie, czasem rozbiegają, to gra silniej ich przypuszczalnie wspólne psychologiczne praźródło, to poczucie, że nie są córami jednego rzutu ducha, lecz, przeciwnie, wykwitły na dalekich jego punktach. Nie wchodzę w te sprawy nierozwikłane, biorę je tylko na świadka dla uwagi, że właśnie w naszych oczach pewien długotrwały zrost się rozczepia. Zaczyna się cięcie na ciele literatury, *padając między poezję a powieść.*

Poezja i powieść nie były dotąd rodowo różne; stanowiły niejako chronologiczne szczeble *). Dawały uczuciu to samo wzruszenie, dawały karm wyobraźni, nieograniczoność czasów i miejsc, plastykę osobowości, powiększonej w świetle i pogłębionej w cieniach, w węzłach wrogiego lub zwycięskiego losu. Powieść była właściwie poezją, tylko zubożałą formalnie, co wynagradzała sobie przyrostem luźności czy swobody. Średniowieczne nowele, o bardzo żywym obiegu we wszystkich krajach łacińskich, później próby rycersko-fantastycznych opowieści za baroku, włoskie eposy dworskie — od patetycznych po opalizujące uśmiechem — w oprawie oktaw, a ich wydłużenie: Don Kiszot, w prostocie prozy, sentymentalne romanse XVIII w., z drugiej zaś strony powieści poetyckie, tj. narracyjne poematy w czasie romantyzmu, wszystko to razem wykazuje, jak oba rodzaje na siebie nachodzą.

Właściwej fizjonomji i racji bytu nabrała powieść dopiero w drugiej połowie XIX wieku, na gruncie tonacyjnego wówczas dla kultury mieszczaństwa. Ona tęczywała społecznym dniem, gdy poezja, po romantyzmie, zaczęła odchodzić w zorze wczorajszości, lub malała do forum przeżyć jednostkowych (symbolizm, modernizm itd.). W prozie bił dzwon idei, proza stała się bojową, społeczną, wykładniczką przekonań, zwierciadłem idących prawd. Była najżywotniejszym, najpłodniejszym rozdziałem literackim, rozlewała się, różnicowała bogato, ogarniała świat, rodziły się i roily się we wszystkich klimatach powieści romantyczne, naturalistyczne, egzotyczne, historyczne, patryjotyczne, psychologiczne itd. itd.; każdy odłam myśli i życia miał swój wyraz powieściowy, — rynek chłonał wszystko.

Rozwarty kąt między poezją a powieścią w wieku XIX przeszedł w zupełne zerwanie przymierza dopiero wraz z powojennem ustosunkowaniem się człowieka do krasotwórstwa wogóle.

O nowej sztuce mówić na tem miejscu niema potrzeby; jakiebądź jest nasze wobec niej nastawienie, mamy ją przed oczyma i wyczuwamy bez objaśnień. Zmierzam odrazu do rozwidlenia, które nas w tej chwili zajmuje.

Znakiem naczelnym twórczości jest dziś skrót, śpieszność, schematyzacja, konstrukcyjność i intelektualizm, aż po abstrakcję, pod

*) Nie cofam się tu do pierwszych objawów twórczości przeddziejowej, zatrzymuję się na widnokregu literackim naszej cywilizacji.

włos pierwotnej wrażeniowej odbiorczości. Tak się śpieszy, geometryzuje i skraca teatr, tak się buduje kańciasto a bez miąższu rzeźba, tak ustawia z przeracjonalizowanych elementów malarstwo, a poeta koleżeńsko idzie pod ich takt. Gmatwanina psychicznego z fizycznym, natłok mignięć obrazowych, unikanie *larga*, wszelkiej melopei, kapryśny zygzak asocjacji, wszystko to stawia ją na krótkim oddechu, tak lirycznie jak epicznie (zresztą mam wrażenie, że stara przegroda między liryką a epiką zachwiała się). Epickość wyraźnie zakłada sobie siedzibę w muzyce, która przemocą wyszarpała się czystemu wnętrzu, wyłącznemu podmiotowi i stwarza sobie wielki aparat środków do zbratania się z zewnętrznym światem. Epickość — bo, spokój i długie wytrzymanie powierzchni — ma i architektura, a na jej niejako warunki pisze się siostrzanie powieść.

Architektura — pierwszy raz w naszych dniach — abdykuje ze stylu, ozdobności, urody, wyrzeka się swego prawego i niepodzielnego dziedzictwa, tak wżytych w nią, że dla nas prawie nie do pomyslenia jako nieużytkowych lub skasowanych: kolumn, arkad, kapiteli, palm i łuków. Odrzuca cały żywioł ornamentacyjny, rzeźbę poddanej światłu powierzchni, a bierze na siebie rolę prostej, obcisłej ramy życia, przezroczystej a logicznej oprawy potrzeb dnia. Postawiwszy hasło najdalej posuniętej redukcji, architektura, z drugiej strony, nie lęka się olbrzymiości i umie swoje nagie fronty wyciągać na wielką długość i prężyć na uderzającą wysokość. Nie boi się monotonji nudnych ścian i po żołniersku ustawionych okien, które mówią o wewnętrznej w tych murach szarzyźnie życia biurowego, nie boi koszarowych bloków kooperatyw, dowodzących, że i ludzie zrastają się w zawodowe czy inne grona i uzgodniają puls swoich istnień, stojących na tożsamej osi. Zbiorowość, organizacyjność — to ton przewodni; indywidualne osamotnienie, wystawa jednostkowej świetności, tak dawniej głośno mówiąca w zamkach i pałacach, ściemniała do szczytu. Nawet gmachy państwowe, teatry, muzea, kościoły upodobniają się do owych ulów codzienności i pracy; wynioślejsze nieco, jak w szachach figury przy pionkach, i przez szacunek obdarzone zwykle dookólnym kęsem wolnej przestrzeni, czynią, co najwyżej, wrażenie klamer, spinających naszyjniki owych szarych paciorków, nie wtargnięcie wyższych, doskonalszych dziedzin życia w codzienność.

Dzisiejsza prowincja powieściowa przypomina takie na nową mod-

łę pobudowane dzielnice stolic. Jak architekturę nazwałam ramą przeżywanej powszedniości, tak powieść ostatniego typu jest tej powszedniości wierną referentką czy sekretarką. I ona abdykuje z olbrzymiej połaci spraw i widoków, wyrzeka się wielkich zdarzeń i mocnych wzruszeń, barwnych tkanin opisowych, nastrojowych perspektyw, świetności i urozmaiceń, aby za tę cenę zyskać jedno: stać się dokumentem. Jak budynek architektoniczny zarzucił „ośrodkowość”, symetryczne obudowanie logicznego centrum, a stał się zszeregowaniem jednakowych odcinków, tak i powieść zaparła się „promieniozbieżności” dokoła głównego węzła, soczewki treściowej czy ideowej, a ma jeden tylko wymiar: długość, niekiedy zadziwiająca długość, jak rzeka, której korytem płynie nieupiększane i niesublimowane życie. Długa, nie lękająca się — jak architektura — olbrzymich jednostajnych wyciągnięć, powierzchnia powieściowa, wytrwały cień życia człowieka, czy paru pokoleń ludzkich, jest niemal bez rzeźby faktów, bez odświętności charakterów, jest tak samo sznurem jednostajnych okien na wewnętrzną życiową i codzienność psychiczną. Jeśli nawet wejdzie na wielkie fale wypadków, choćby wojnę, lub dalekie pola dziejów, patrzy na nie tysiącami maleńkich spojrzeń, nie jedną wielką źrenicą syntezy. Kronika to — nie historia. Jeszcze mamy w pamięci wojny Sienkiewicza: zawsze grupy bohaterskie, szal zmagają, wrastających w cuda, wielkie dusze, wielkie gesty, wielkie zadziwy. Obok wojna Remarque'a: miałki, szpetne, cuchnące szczegóły. Bohaterstwo wyparowało z tej wojny, jest grubość i męczarnia. Średniowiecze „Krzyżaków” ma potężne wichry wydarzeń nad głowami dębów-ludzi. Naprzeciw nich średniowiecze „Krystyny”: pierwotne gospodarstwa, dużo fizjologii, niski klosz, pod który z trudem wiew europejskich wypadków zaleci *).

Powieści dzisiejsze to *etiudy życiowe*. Skrupulatne etiudy, gdzie wagą nie są kombinacje wyobraźni, lecz ścisłość przekroju, czyli, jak powiedziałam — dokument. Ojcem takiego romansu - dokumentu był Zola, dlatego podałam początkową datę w drugiej połowie ubiegłego wieku. Mam już i u Zoli stosunek powagi i prawie naukowego badania, mamy wywyższenie dnia życiowego na piedestał litera-

*) Jako odstępstwo — jednostkowe — należy wymienić Zofję Kossak i jej nawrót do kosztownej tkaniny.

tury, mamy nawet długość, przechodzącą w cykliczność, — najcharakterystyczniejsze znamię powieści powojennej. Tylko u Zoli trwało, poniechane dziś, stanowisko programowości, naczelnego znaku, i były duże naciski opisowe, miejsce dla oka i dla przekonań autora. W *Une vie* Maupassant'a, gdzie jest też szarość samej przędzy i długi przepływ lat, wyziera jeszcze zpośród wierszy spółczucie autorskie. d. n.

MARJA MOROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA.

NOTY Z TEATRU

Teatr Polski: Spiros Melas-Papa Nikolauzos, sztuka w 4 aktach.

Sztuka Spirosa Melasa, wszechstronnego utalentowanego pisarza: felljetonisty, autora dramatycznego, kierownika teatru, niewiele nam o samym autorze powiedziała.

Akt pierwszy sztuki Papa Nikolauzos pokazuje nam jakby klimat (port Pireus) tej Grecji dzisiejszej, którą wzruszeni chcielibyśmy zobaczyć i przymierzyć choć odrobinę do tej dawnej macierzy sztuk, nauk, usłyszeć choćby daleki rezonans tradycji dawnych świetności i niedoli. Nic z tego. Coś tam pachnie Grecją w pierwszym akcie, który jest najlepszy: mocny, twardy człowiek z ludu, dochował się syna, wypruł się na jego edukację i zamiast przyjaciela ma obok siebie obcego pana, który żąda od niego największej ofiary: wyrzeczenia się pracy. W imię czego? w imię własnej kariery. Czekamy konfliktu, tragedji zderzeń dwóch światów, upadku czy zwycięstwa jednego lub drugiego.

A karmi nas autor od drugiego aktu tanią farsą międzynarodową, by przejść w akcie trzecim i czwartym do salonowego romansu bulwarowego. Papa Nikolauzos zwycięża, wydiera syna salonom i intrygom politycznym by uczynić z niego wątpliwego przedstawiciela ludu. Coś nie bardzo wierzymy temu fircykowi robiącemu gwałtownie karierę, że wróci do szynku i produkcji win, do pracy twardej i do twardych ludzi. Nieznamy innych sztuk Spirosa Melasa, w tej sztuce miesza wartości, nie umie poradzić sobie ze środkami dynamiki scenicznej. Rola tytułowa jest wielkim sukcesem aktorskim Kurakowicza.

Szałeństwo Ch. de Peyret Chapuis. Sztuka w 4 aktach.

Młody autor, podobno debiut. Ze sceny powiało ciepłem żywych ludzi, przed oczyma naszymi odbywa się wiwisekcja kobiecych dusz, jakoby już umarłych czy znumifikowanych: ale to złudzenie, one

żyją pulsują czerwoną krwią, męczą się niewyżytemi namiętnościami, zadręczają się wzajemnie, a mogłyby rozkwitnąć, gdyby nie zdusił ich konwenans..

Dobre stadjum psychologiczne, doskonale narysowane postacie kobiece, czwarty akt, o dużych efektach scenicznych może najmniej dobry z całej sztuki, która jednak jest ciekawa, żywa, świetnie wyreżyserowana przez Cwojdziańskiego, pupila Reduty,

W reżyserji odczuwa się żywo metody Reduty, rzetelność podejścia do pracy, wnikliwość obserwacji. Główna kobieca rola Elżbiety znalazła w Eichlerównie nietylko znakomitą interpretatorkę lecz coś więcej została podparta niezwykłym czarem indywidualnym, dziwnością akcentów, głębią niesamowitych warunków naszej świetnej bohaterki. Wykonanie reszty postaci kobiecych na wysokim poziomie: Małynicz. Dulęba i inne. Mężczyźni i jako postacie w sztuce i wykonawcy bladzi.

Dekoracja Pronaszki raczej nadawała by się na jakiś stary ka-sztel, nie na małomieszczańskie wnętrze na głębokiej prowincji francuzkiej.

Teatr Nowy. Złoty deszcz J. B. Priestley sztuka w 4 aktach

Znany angielski autor zawiódł nasze oczekiwania, mimo reklamy równającej go z Chestertonem. Sztuka, w trzech bardzo nudnych aktach, wprowadza nas w małomieszczańskie środowisko angielskie do willi pocziwego fabrykanta papieru, który prowadzi podwójne życie i jest szefem bandy fałszerzy banknotów. Autor nic nam nie powiedział o powodach, które skłoniły go do zbrodni społecznej, o załamaniach się może ciekawych, zawsze godnych poznania, dlacze-go człowiek odchodzi od gromady i jej moralności i na manowcach buduje swoje własne drogi życiowe. Nic z tego nie widzimy w sztuce, jedynie w czwartym akcie mowa przestępcy (wesołego i jowialnego dowcipnisia) z dedektywem Scotland Yardu, uczy nas jak sprytem można wyminąć wszystkie pułapki zastawione przez społeczeństwo na przestępcę. Właściwie sztuka jest szkołą i nawet zachętą do fabrykacji banknotów. Po co ją wystawiono, nie wiemy. Nawet Zelwe-rowicz, doskonały aktor, nie ma pola do popisu. Wykonanie słabe, obsada zła.

Dekoracja wnętrza nowoczesnej willi godna lepszej sztuki.

Teatr Letni. W roli głównej Barbara Bow. Michał Duran. Komedja w 3 aktach

Pani Modzelewska ma piękną suknię w 3 akcie i Junosza Stępow-ski udaje byczka wiejskiego. Smutna młocka bzdur bez cienia uśmie-chu i dowcipu.

Z K S I A Ǻ Ż E K

Jan Rzewnicki. *Moje przygody w Tatrach*. — Warszawa, F. Hoesick, 1938 r.

Inż. Jan Rzewnicki niedawno koleguje z nami w literaturze, jednak, mimo warunków wydawniczo trudnych, (czytaj: utworów jest znacznie więcej niż wydanych książek) już przyciągnął ku sobie uwagę. Ma dwa zamiłowania: teatr i Tatry. Teatr dostał od niego doskonałą panoramę: *Rok 1863*, a na jej marginesie drobiazg sceniczny o Bechim (*Bohaterowi*). Obecnie Skawa paroma stronicami zwiastuje „szekspirowski” wyczyn autora: rewję panowania Stanisława Augusta w 10 dramatach! Tatrom od lat poświęcał — w ukryciu — skrupulatny notatnik. Pierwszy snop zapisek wyszedł właśnie na światło: *Moje przygody w Tatrach*.

W dramatach zrudne studia historyczne, zamyślenie nad rodziną przeszłością, w Tatrach śpiew duszy, samorzutność ruchów, radość wyrazu. Rasowa gawęda — tylko że na wysokościach głos jej szczególnie czysto i wyraźnie niesie, słońce na niej tęczyje, obłok ją potraça, czasem ją burza ubiera w powagę. Dla uważnego czytelnika przewija się równym ściegiem i głębsza kultura autora, jego życzliwość dla ludzi i rozbijająca skromność, która nie zamalowuje własnych taternickich usterek. Ale przede wszystkim na każdej stronie olbrzymieje natura tatrzańska, namiętnie ukochana. Wszystkimi zmysłami czujemy jej bliskość, przyjaźń z nią lub walkę. Ileż poezji! Scenerja migotliwa, różnorodna, po pustkowiach, skałach i lasach, po schroniskach i jeziorach, przez głębokie noce i różowe poranki; aktorzy żywi, przejęci swą rolą, akcja ani na chwilę nie opada: śmiech i strach, niebezpieczeństwa i tryumfy, humoreska i dramat. Sliczna, przemiała książka!. Ale to, jak powiedziałam, pierwszy snopek. Autor odbył 300 wycieczek, opisał kilkanaście. Czekaemy innych. Proszą o nie miłośnicy dobrej lektury, taternicy o nie proszą jeszcze bardziej i proszą.... Tatry.

JULJA WIELEŻYŃSKA

Nie mogę pominąć pewnego szczegółu. Autor, znany z prac nad językiem, w mylnie wyczutej sumiennosci obywatelskiej wydał książkę nową ortografją, której jest *zdecydowanym przeciwnikiem*. W przedmowie wyraża spóźniony żal i obietnicę powrotu na dawne tory. Jego Canossa to nasze zwycięstwo. Dziękujemy mu za nie!

Janina Brzostowska. Bezrobotni Warszawy. Powieść, Wyd. II Warszawa, Nakładem Księgarni F. Hoesicka.

Janina Brzostowska, liryczka o spływającym w szlachetne formy uczuciu, zrobiła niespodziankę czytelnikom, zainteresowanym rozwojem jej pięknego talentu, przez pierwszy skok w prozę. I to w bardzo prozaiczną prozę: powieść o ledwie nasuniętej zasłonie belletrystycznej na rzetelne, ale raczej sprawozdawczo spisane troski i zamyślenia społeczne.

I Konopnicka spadła tak któregoś dnia z liryki (wprawdzie mniej osobistej niż J. Brzostowska) na twarde bruk noweli realistycznej. Zaciągnęła jednak w sutereny wielkiego miasta cały łąkowy zapach swojej poprzedniej poezji, razem ze zwykłym swym obrostem sentymentu dokoła faktów. J. Brzostowska postępuje wprost przeciwnie. Zgłuszyła doszczętnie liryczkę, jakby trzymała się recepty uniewidoczniania autora, cofnęła swoje artystyczne „ja“, bezwarunkowy łącznik między tematem a czytelnikiem. Niezawodnie mówiła w niej pobudka wysoka: Czerni się obok nas, na maleńką odległość życiową, tragedia tak przeraźliwa, że nie trzeba nic więcej, jak ją krótkim, prostym gestem pokazać. Wszelki dorzut artystyczny, ornament czy kolor byłby wobec niej profanacją.

To jednak, że autorka okiem i sercem trafiła w sam zasupłany węzeł tej tragedji, stanowi społeczną wartość tomu.

Przez nieozdobre, niemal nagie zdania tej, bystro widzącej a wernie notującej powieści przewleczona jest cała treść najniezrozumialszego, najbardziej niekonsekwentnego z kataklizmów. Jego niewinne ofiary padają wzdłuż beznadziejnego toku książki, najpierw udręczone czepianiem się upokarzającej, lichej egzystencji, by może potem, jak kamienie, znaczyć drogę ku jakimś nieprzeczuwanym przemianom. Kto się nie wpatrzył w nasze dni, nie zastanowił dość boleśnie, niech weźmie „*Bezrobotnych Warszawy*“, znajdzie w nich wszystko, nie, co życie może dać, ale co może odebrać ze swoich elementarnych praw. i to nie ludziom, którzy szli z niego czerpać, ale tym, którzy chcieli cicho pełnić jego pierwsze nakazane i powszechnie pożyteczne obowiązki.

Jest w książce nędza we wszystkich swoich obliczach, ale jest także — tylko jakby na razie cichszym głosem zapisana — z nędzy wykłuta nowa słuszność, nowa konieczność, jutrzejsze wyrównanie. Za-

stanawia w młodej autorce zdolność rozumienia i brania wrażeń od strony „tamtych”. Przytoczę dwa wyimki.

„Są tacy, którzy powiadają, że to piękne miasto — Warszawa. Może i piękne, ale za wiele tu kamieni, dla zmęczonych stóp. Chodniki, bruki, znów bruki... Wszystko kamień tylko. Bogaci nie czują może, jak jest ciężko wędrować po tych ulicach — ale dla biednych to kamienne miasto, szeroko rozlane, aby się można było umęczyć do ostatniego tchu, szare — aby radości nie było w niem żadnej jasnej” (str. 140).

Albo jeden ze „spowszedniałych” punktów kroniki bezrobocia:

„Cicho, ociężale płynie piękna, ogromna Wisła, a światła idą i tu jej mostem, odbijają się w wodzie, tak pięknie, tak migotliwie lśnią, mieniają się, węzami złocistymi wędrują w górę rzeki, aż roztopiają się na czarnej, zimnej fali. Gdyby tak rzucić się, upaść na jedną taką złocistą plamę pod mostem — zawrzałyby ze złości, że zmacono uroczę jej lśnienie...”

Zawrót głowy, serce bije gorączkowo, gwałtownie, gorączka w oczach wyolbrzymia, wyjaskrawia smugi drgających światel. Usta spalone, woda zimna, zimna... Mroczny, stężyły w przeraźliwym postanowieniu wzrok wpatruje się w nią chciwie. Zgarbiona postać wyprostowuje się nagle, majestatyczna się staje i wielka, wyciągają się ręce drżące, pracami życia całego utrudzone... Czarne obręcze fal mącą na chwilę lśnienia złocistej plamy. — Cicho, ociężale płynie dalej piękna ogromna Wisła, w głęboką, głęboką noc” (str. 75).

Zdaje mi się, że i w obijaniu się cierpiącej świadomości o kamienne ramy miasta i w tem sekundowym zmaćeniu świetlistych obręczy na fali przez czarność śmiertelnego rozstrzygnięcia — mimo wszystko, krzyżują się dwie linje: jedna mocna, przewodnia w tej chwili — linja społeczna, druga — wygnanka z książki, która jednak, nieopatrnie między wyrazy się wślizgnęła: nieśmiała linja poetyckiego odczucia.

Te dwa punkty skrzyżowania uważam za zadatek dobrej gwiazdy następnej powieści p. Brzostowskiej.

JULJA WIELEŻYŃSKA

U PISARZY I W REDAKCJACH

Kazimierz Czachowski opracowuje dwutomowy zarys polskiej literatury realistycznej, który będzie stanowił uzupełnienie wstecz „Obrazu współczesnej literatury polskiej”. W tomie I, będącym na ukończeniu, główne rozdziały zajmą Kraszewski i Norwid, którzy w książce tej dopiero na tle współczesnego im europejskiego realizmu będą mogli być w pełni scharakteryzowani.

Jan Rzewnicki wydaje cykl dramatów poświęconych życiu i panowania króla Stanisława Augusta, oraz pracuje nad II tomem książki „Moje przygody w Tatrach”.

Stella Olgierd, ukończyła powieść turystyczną o Węgrzech p. t. „Rozdzieleni”, oraz przekład powieści autora sycylijskiego Piotra Mignosi „Perfetta letitia”.

Obecnie pracuje nad powieścią mającą za tło Polesie, i nad przekładem powieści Franciszka Herczega p. t. „Pro libertate”.

J. R. Rogulska-Cybulska wydaje powieść „Idzie lawina”, poruszającą zagadnienia wychowania koedukacyjnego.

Julja Wieleżyńska złożyła u wydawcy II. t. Idej i twórców, ukończyła Antologję poezji łużyckiej w przekładzie polskim, oraz przygotowuje do druku studia o Asnyku.

Ukazał się nr. 1-2 miesięcznika literackiego „*Kamena*”. Pismo to, redagowane przez znanego poetę i tłumacza utworów francuskich, rosyjskich, słowackich, czeskich, białoruskich i ukraińskich, rozpoczęło już VI rok swego istnienia. Z tem większem uznaniem należy podkreślić jego rzetelną kulturalną wartość. W numerze z ważniejszych autorów obcych: *Apollinaire, Majakowski*, z polskich *Napierski, Brzostowska, Bieńkowski, Piwowar, Wygodzki* i w. innych.

„*Obrona Kultury*”, nowe pismo wychodzące w Warszawie pod redakcją Adama Szczepanika, zwraca uwagę bardzo sumiennem podejściem do spraw interesujących dzisiejszy świat intelektualny. Pożyteczna, walcząca o właściwą ocenę wielu trudności naszego życia, placówka. W n-rach 5 — 6 aktualna polemika w sprawie ośrodka dyspozycyjnego kultury.

„*W młodych oczach*”, redagowana przez Józefa Czerniego kolumna literacka wychodzącego w Wilnie dwutygodnika „Sprawy otwarte” skupia koło siebie młodych pisarzy wileńskich. W ostatnim 3-cim n-rze interesujący artykuł J. Czerniego „Terazniejszość kresowa”, J. Panasewicza „Człowiek-istota nieznaną” i wiele innych. Duży dział poezji. Życzymy Redakcji coraz piękniejszego rozwoju!

Prenumerata jest podstawą istnienia pisma

P R E N U M E R U J C I E

„S K A W Ę”

KOMITET OBRONY JEZYKA

BIULETYN Nr. 2

Zwalczamy reformę pisowni z r. 1936

PROTEST LITERATÓW I PUBLICYSTÓW

W związku z przybierającą coraz wymowniejszy wyraz ogólną niechęcią do ostatniej reformy ortograficznej, niżej podpisani literaci, publicyści i dziennikarze wyrażają przeciw niej zdecydowany protest i występują z wnioskiem do p. Ministra Oświecenia Publicznego o zarządzenie rewizji w tej sprawie, pewni, że ich inicjatywa spotka się niemal z powszechnem poparciem społeczeństwa polskiego.

Warszawa w maju 1937
następuje zgórą 300 podpisów,
(obecnie liczba protestujących literatów i publicystów przekroczyła 400 nazwisk).

WYJĄTEK Z ODEZWY KOMITETU OBRONY JEZYKA

Program działania Komitetu Obrony Języka obejmuje:

1. koordynowanie nadal indywidualnych protestów i wystąpień.
2. zbieranie materiału wykazującego jaskrawo trudności i niekonsekwencje w stosowaniu nowych zasad,
3. wydawanie specjalnego biuletynu, informującego o prowadzonej akcji, oraz o stanie rzeczy w literaturze, prasie, teatrze, stosunkach wydawniczych, szkołach, urzędach itp. w związku z narzuceniem nowej pisowni,
4. pośredniczenie w możliwych zatargach między autorami, nie chcącymi stosować się do nowej pisowni, a wydawcami, stosującymi ją bezwzględnie,
5. przedstawienie wyników akcji p. Ministrowi W.R. i O.P. do załatwienia z Komitetem Ortograficznym Pol. Akademji Umiejętności.

— o —

Do wszystkich, którym leży na sercu powrót do *prawidłowej pisowni*, a którzy na polu swojej twórczości lub pracy zetknęli się z niechęcią z jednej, a nakazem z drugiej strony, którzy dalej, porobili doświadczenia co do trudności i niekonsekwencji wprowadzonych przepisów, K. O. J. zwraca się z uprzejmą prośbą, aby w myśl punktów 2, 3 i 4 zechcieli się z nim dzielić swoim materiałem. Będzie

on zużytkowany przy propagandzie, oraz w akcji, z jaką Komitet zwróci się do Ministerstwa Oświecenia Publ. i do Pol. Akademji Umiejętności.

Adres: Komitet Obrony Języka. Warszawa, Marszałkowska 117, tel. 619-59.

W listopadzie r. b. K. O. J. złożył na ręce Sekretarza Generalnego Polskiej Akademji Umiejętności, prof. Stan. Kutrzeby, następujące pismo:

Reforma ortografji z r. 36-go wywołała niechęć w społeczeństwie, dotknęła je nie tylko w nawyknieniach, ale w głębszem wyczuciu językowym. Ponieważ liczni pisarze i część prasy trzyma się i oświadcza, że nie odstąpi od zasad poprzednich, w Polsce w chwili obecnej istnieją dwie pisownie. Pociąga to za sobą m. in. i ten przykry wynik, że w drukach od dwu lat pojawiło się więcej błędów niż dawniej w ciągu dziesięcioleci. — Komitet Obrony Języka zasypywany jest z całego kraju skargami, krytykami, prośbami o wstawiennictwo. Głosy te są wyrazem tak znacznego i tak różnolitego odłamu społeczeństwa, że niepodobna przejść nad niemi do porządku. Spełniając nasz obowiązek wobec owych zastępów, zwracamy się uprzejmie do Pana Profesora z oświadczeniem, że czekają one rewizji palącej sprawy pisowni, oraz poddania życzliwej rozprawce argumentów strony oponującej.

UCHWAŁA ZJAZDU TEOLOGÓW W KRAKOWIE

Kraków, dnia 1 września 1938 r.

W wolnych wnioskach zebrani księża profesorowie homiletyki zwrócili uwagę na trudności, jakie wytworzyła w piśmie i w mowie ostatnia reforma ortografji i jednomyślnie powzięli następującą rezolucję:

Sekcja homiletyczna, zastanawiając się nad sytuacją wytworzoną przez radykalną reformę ortografji,

- 1) postanawia przy nauce kaznodziejstwa nie wprowadzać zmiany w dotychczasowej, tradycyjnej wymowie;
- 2) przestrzega autorów kaznodziejskich, aby nie przykładali ręki do odmiany powszechnie przyjętych form językowych;
- 3) od wszystkich czynników, ponoszących odpowiedzialność za kulturę języka, domaga się gruntownej rewizji uchwał Komitetu Ortograficznego, uwzględniającej potrzeby wymowy, nauki i literatury.

Sekcja homiletyczna, jednomyślna w tych uchwałach, żywi nadzieję, że w tej dziedzinie będzie wyrazicielką opinji obu polskich towarzystw teologicznych.

- 4) wreszcie domaga się przy ustalaniu poprawnej wymowy udziału kaznodziejów, mówców i przedstawicieli polskiej sceny.

Rezolucja ta, przedstawiona na plenarnem zebraniu obu towarzystw teologicznych (Polskiego Towarzystwa Teologicznego i Związku Zakładów Teologicznych), wywołała odruchowo burzę oklasków, co świadczy o jedności polskich teologów, a z nimi i szerokich warstw społeczeństwa, w poglądzie na nieprzemyślaną, szkodliwą i wysoce niepopularną reformę, której naprawa staje się życiową koniecznością.

POWRÓT DO DAWNEJ PISOWNI

W wydawanym w Orchard Lake (Mich. U. S. A.) pod redakcją ks. prałata Al. Syskiego, kwartalniku: *Kazalnica Popularna*, której zeszyt I wyszedł w nowej pisowni, w N. 2 czytamy:

Z obydwu stron, a więc i z Polski i z Ameryki, otrzymaliśmy protesty księży przeciwko stosowaniu się w „*Kazalnicy Popularnej*” do nowej pisowni polskiej. Z Polski bardzo gorący i umotywowany apel, ażebyśmy w „*Kazalnicy*” powrócili do tradycyjnej starej pisowni, nadesłał nam obok wielu innych znany katolicki pisarz i polemista, ks. kan. Charszewski, a z Ameryki również gorący i umotywowany apel o to, obok innych nadesłał nam również znany patriota i autor książek z kazaniem ks. proboszcz Smogór.

Wobec świetnego uzasadnienia przez ks. redaktora Pilcha w „*Przeglądzie Homiletycznym*” krzywd, które robi nowa reforma pisowni polskiej, zwłaszcza wymowie i kaznodziejstwu, wyczuwamy w głosie tych księży, którzy żądają w „*Kazalnicy Popularnej*” starej pisowni, głos ogółu, i dlatego już w niniejszym zeszycie ze względów technicznych częściowo, a w dalszych zeszytach całkowicie będziemy się trzymać znowu naszej starej pisowni”.

Oby ten dzielny przykład znalazł naśladowców!

WAŻNIEJSZE PUBLIKACJE PRZECIW NOWEJ PISOWNI

Jan Otrębski, prof. Uniwersytetu S. B. w Wilnie: „O nowej pisowni polskiej” (odbitka z n 6 „*Śród Literackich*”) Wilno 1937

Stanisław Cywiński, docent Uniwersytetu S. B. w Wilnie: *Gwałt ortograficzny*: Wilno 1937

M. S. Mycielski: „W obronie języka polskiego. Domagajmy się odwołania!” Leszno 1937 Nakładem autora.

Ks. Zygmunt Pilch, prof. Seminarjum Duchownego w Kielcach, redaktor „*Przeglądu Homiletycznego*”: „Nowa pisownia w świetle wymowy”, Kielce 1937, Odbitka z *Przeglądu Homiletycznego*”.

Świat: „Akcja 300 pisarzy polskich przeciw nowej pisowni” N. 52 z d. 24 grudnia 1937. Warszawa.

Karol W. Zawodziński: „Reforma pisowni w oczach laika” odbitka z *Przeglądu Współczesnego*. 1937.

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADESŁANE

Giacomo Leopardi — *Poezje*. Tłum. Julja Wieleżyńska. Bibl. Polska 1938.

Edmund Machalski — *Ludwik Gutakowski* — *Fund. Kultury Nar.* 1938.

Henryk Wroński — *Z głową wspartą na rękę*. *Poezje*. W-wa. Geb. i Wolff. 1938.

Ateneum

Kamena

Kurjer Bibliofilski

Obrona Kultury

Okolica Poetów

Sprawy otwarte.

Sygnały

NASZYJNIK WIECZNOŚCI

nowe poezje

JANINY BRZOSTOWSKIEJ

Wyd. „SKAWA”

CENA 2 ZŁ.

Do nabycia we wszystkich księgarniach
oraz w Adm. „SKAWY” Warszawa, Nowogrodzka 23 m. 5

**Kto pragnie z pismem wejść w kontakt, musi je przedewszystkiem
zaprenumerować!**

**Począwszy od następnego numeru „SKAWA” ukazywać się będzie
regularnie co miesiąc.**

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowogrodzka 23 m. 5, tel. 9.55-88

D R U K A R N I A
E K O N O M I C Z N A
J. K U B I A K I S - K A
W A R S Z A W A
U L. L E S Z N O 2 0
T E L E F O N 1 1. 4 8 - 3 3

398